DODATEK LITERACKI I OGÓLNOKSZTAŁCĄCY „DZIENNIKA BERLIŃSKIEGO“

Rok 1924 Nr. 13

MARYA KONOPNICKA.

Modlitwa Pieśniarza.

Innym daj lot,
Daj innym pióra chyże,
Na moc, na dźwięk
Strun przyczyń im na lirze,
W zapału żar,
Rozdmuchaj skry im twoje,
Na słowa pęd,
Z gór wypuść rwące zdroje!
Niech leci pieśń,
Jak lecą orły boże,
Wichrem przez ląd,
Przez wielkie — szumem — morze,
Niech w mlecznych dróg,
W gwiazd świeci zawierusze...
— Mnie tylko daj
Te bratnie wzruszyć dusze!

Innym niech pieśń
Malują kwietne łąki,
Niech wtórzą jej
Słowiki i skowronki...
Na jasność czół, daj dębów im korony,
Na życia moc
Pól siewnych — daj im plony!
Na złotych harf
Oparci majestacie,
Przed światem niech
W słonecznej stoją szacie.
Z wzniosłych im głów
Niech wieją późropusze...
— Mnie tylko daj
Te bratnie wzruszyć dusze!

Im — róży kwiat,
Mnie — ciernie daj do ręki.
Im — uśmiech dnia,
Mnie rosy łez jutrzenki...
Mnie mrok i noc,
Im doli daj zaranie,
Mnie śmierć i grób,
Im wiosny zmartwychwstanie...
Mnie wichry burz,
Im błękit daj spokoju,
Mnie walki bój,
Im tryumf po tym boju...
Im poblask czci,
Mnie zapomnienia głusze...
A tylko mi
Daj wzruszyć — bratnie dusze!

EUGENJUSZ MAŁACZEWSKI.

Państwo ponurej anegdoty.

W kółku męskim opowiadano „przy kieliszku“ anegdoty. Właśnie zabrał głos kapitan wojsk polskich, udekorowany wstążeczkami francuskich i angielskich orderów. Mówiono o nim, że podczas tej wojny zwiedził kawał świata, że bił się po kolei w różnych, nawet wrogich sobie armjach, wytrwale nadstawiając upartego karku zawsze i wszędzie w imię tej samej, wyśnionej stuletniem utęsknieniem Polski. Wędrując za wojną, wpadał wielokrotnie w tarapaty wprost beznadziejne; jeżeli z najgorszej swej przygody salwował się szczęśliwie, zawdzięcza to jedynie temu, że z bolszewizowani marynarzy kronsztadzcy, którzy pewnej nocy listopadowej chcieli go, jako oficera polskiego, wrzucić do Bałtyku, posprzeczali się zbyt zajadle o to, czy pocisk armatni, mający delikwenta pogrążyć na dno morskie, uwiązać mu do nóg, czy też do szyi. Ponieważ spór poczynał się przewlekać aż do nieprzyzwoitości — kapitan, jako jedyny gentelman w owem towarzystwie, opuścił je po angielsku, z nikim się nie pożegnawszy i via Murman — Nord — Kap — Londyn — Paryż, powrócił do Warszawy. Tu spotkał dawnych przyjaciół, którzy go fetowali.

— A teraz, panowie, moja kolej! — rzekł. — Opowiem o wypadku, jaki się zdarzył w moich oczach. Było to w państwie ponurej anegdoty.

— ???

— „Państwem ponurej anegdoty“ nazywam Rosję dzisiejszą. W latach poprzedzających wojnę, olbrzymie państwo rozparte na dwóch lądach i siedmiu morzach, było dla świata jedną wielką anegdotą drastyczną, okraszoną humorem, rozełganym jak najdziksza z kaczek dziennikarskich.

Europa, lokująca w Rosji miljardy francuskie i zalewająca ją tandetą „Made in Germany“, wyobrażała sobie ten kraj, niby ilustrację tytułową z kiepskiego pisma humorystycznego.

...Pod rozłożystem drzewem żórawinowem, nazywanem po tubylczemu klukwą, siedzi carska rodzina, zebrana dokoła samowara. Samowar pochodzi z Tuły, błyszczy, będąc w stylu bizantyjskim, jak złocone banie cerkiewne, a jest pojemny, jak kolejowa cysterna od nafty Br. Nobel. Mdlejącą Carycę ciągnie za warkocz ku gąszczom klukwowym kudłaty mnich Grzegorz Rasputin, mistyk i cudotwórca, chory na satyriasis. Na placach stolicy Państwa anarchiści wygłaszają mowy, potężne jak dynamit, ale światoburcze słowa, zanim dolecą do uszu słuchaczy, zamarzają w powietrzu i spadają na bruk, niby rozbite szkło. Na tłumy proletarjatu szarżuje jazda, złożona z dzikich kozaków i napiera piechota, sformowana z białych niedźwiedzi pod dowództwem rewirowego w białych rękawiczkach. Lud w papachach i kaloszach firmy „Trieugolnik“ pije „czaj z połotiencem“, żłopie „wódkę-kazionkę“ i koniak Szustowa, tańczy „kamarińskiego“, bije żydów i wywłaszcza Polaków, spory prowadzi tylko „pryncypjalne“, gryzie „siemiaczki“ i spluwa niemi na cały zgniły Zachód...

Anegdotowo wyobrażał sobie Europejczyk Rosję carską.

Rosja bolszewicka nie przestając być wielką wciąż anegdotą, wyponurzyła się w coś straszliwego, niby dowcip sarkastyczny zbrodniarza, prowadzonego pod stryczek.

Potomkowie proroków Bożych: Jeremjaszów, Izajaszów i Ezechjelów, współcześni Żydzi Międzynarodowi wzięli w krwawy pacht naród wielomiljonowy, wpierw uwiódłszy go fałszywem proroctwem żyda Marksa. Rzucili w tłum dynamizujące hasła piękne, zasypali go frazesami urocznemi o proletarjackiej wolności, równości i braterstwie. Lecz na obliczu każdego wcielenia tych haseł w czyn — wyszczerza się potworny grymas Antychrystowego Szatana Dziejów i zamiar pozornie piękny staje się ponurą anegdotą.

Widziałem te grymasy szatańskie i słyszałem o nich.

Rzucono w „nowej“ Rosji hasło wyzwolonej sztuki. Znaleźli się proletarjaccy malarze, muzycy, poeci. Wśród kahału poetów bolszewickich jest pieśniarz, używający pseudonimu Lew Krajnij. Prócz wypisywania rymowanych chwalb dla Bronsztajnów i Nachamkiesów, Lew Krajnij masowo morduje ludzi po „czrezwyczajkach“, ponieważ jest ideowcem, czyli teoretykiem socjalizmu, pisującym wiersze w stylu najmłodszej poezji warszawskiej. Gdy jedna z wielbicielek talentu poprosiła go o autograf, poszedł do „czrezwyczajki“, zamordował kolejną ofiarę, przyniósł trochę krwi w spodeczku i na kartce papieru wypisał: „Krowju ubijennych rozpisalsia. Lew Krajnij“. Ten ulotny drobiazg literacki ofiarował swej wielbicielce, nadmieniając tonem fachowca-literata, że nareszcie zdobył się na ostatnie słowo współczesnej liryki futurystycznej. Tak wygląda grymas szatański na obliczu „wyzwolonej“ sztuki.

Rzucono hasło wyzwolonej pedagogji. Usunięto z nowego systemu wychowawczego wpływy rodziny i religji, ażeby na przyszłość urobić dla państwa kadry „istinnych“ komunistów. W tym celu spędzono w Piotrogrodzie do takiej postępowej szkoły dwa tysiące dzieci. Z powodu zagłodzenia w mieście, wymierającem na tyfus i głód, zdecydowaną tę czerwoną brygadę młodziutkich istot ludzkich wywieźć na południe, lepiej w żywność zaopatrzone. W drodze karmiono dzieci koniną. Po przybyciu na miejsce — wszystkie pochorowały się na nosaciznę, gdyż mięso pochodziło od koni chorych. Aby zapobiedz szerzeniu się nieuleczalnej choroby, wezwano Chińczyków z kulomiotami... Nikt nie zaprzeczy, że ci, którzy chcieli wybawić dziecіarnię od śmierci głodowej, byli pełni najlepszych chęci. Lecz na skośnookich obliczach milczących azjatów, gdy strzelali z maszyn automatycznych do 2000 dzieci, wyszczerzył się grymas szatański, widniał przebiegle — mądry uśmiech szatana „wyzwolonej“ pedagogji.

Własnemi oczami widziałem inny jeszcze grymas tego szatana. Byłem wówczas na początku swej 12 000 kilometrowej drogi, w którą wybrałem się po bitwie Kaniowskiej. Jechaliśmy z ordynansem moim na dachu wagonu towarowego, wobec braku miejsca w „tiegłuszce“, zapchanej przez czerwone gwardje, jadące w naszym pociągu na uśmierzenie jakiegoś buntu chłopskiego. Prócz nas znajdowała się na dachu kupa tubylców, w tem: sołdat, kobieta i chłopak, o których będę opowiadał.

Południe lipcowe jaśniało wokrąg na spieczonym stepie; przecinała go rzeka Wołga, wyglądająca w oddali, niby rozścielona na trawie szeroka sztuka szarego płótna, dziergana przez słońce w złote i srebrne supełki i nicie. Mijały słupy telegrafu, uciekając w dal; stukały żelazne koła wagonu, myślom zafrasowanym przytakując; towarzysze mej podróży, śpiewali pieśni rosyjskie, przepaściste i bezpłodne w swym smętku okrutnym, jak step, który jest w dzień miedziany od słońca a w nocy upiornie srebrny od księżyca. Toczyły się spory zajadłe, „pryncypjalne“, iście rosyjskie, — naprzykład o to: czy Bóg jest na świecie, czy Go niema. Gryziono przytem nieodzwone „siemiaczki“ i wypluwano łuskę słonecznikową wraz z potokami słów, równie nieużytecznych i plugawych, jak wypluta łuska.

Nuda najrozpaczliwsza, jakiej kiedykolwiek doznałem! Uczucie, nazwane u Rosjan: „toská“, które tłumaczy się po polsku przez słowo: tęsknota, lecz nie jest nią, gdyż wszelka polska tęsknota, jest jakaś błękitno-srebrna, nostalgicznie-skrzydlata, nie zaś — ponura, bierna, cuchnąca więzieniem, trupem, zgliszczami, jak ta ich rosyjska „toská“!

Jednostajność podróży przerwał wypadek, do którego zastosować można owo bodlerowskie słynne porównanie: „oaza przerażenia na pustyni martwej nudy“.

Podróżująca w naszem gronie kobieta, z wyglądu mieszczanka, zaczęła nagle ochać, oraz wzywać wszystkich świętych i wszystkie plagi najstraszliwsze na głowę złodzieja, który jak się spostrzegła okradł ją z pieniędzy wraz z portmonetką, znajdującą się w schowkach spódnicy. Na dachu zrobił się ruch. Rozpoczęto doraźne śledztwo z wywracaniem kieszeni pasażerów. Pieniądze znikły bez śladu. Gdy kobietę zapytano, na kogo rzuciłaby podejrzenie, odparła bez namysłu, że okradł ją chłopiec, który obok niej zajmował miejsce w podróży. Był to miły chłopaczek, napół dziecko jeszcze, różowy, schludny i wesoły; przygrywał nam na organkach, naśladował uniwersalnie lokomotywę odjeżdżającą ze stacji i cieszył się jazdą na dachu, jak osobliwą przygodą; świat był dlań jedną wielką, nowiuteńką zabawką i tej zabawki miał pełno w szarych oczach, patrzących w ludzkie źrenice prosto i z zaufaniem serdecznem.

— Gdzieś podział pieniądze, szczeniaku?

— Nie mogę wiedzieć — odparł zdumiony, zadarłszy głowę czupryniastą, nie wstając z miejsca, gdzie siedział.

— On, on ukradł! — Ale zląkł się i upuścił na ziemię, izwierg! — krzyknęła kobieta.

Jakiś świadek niepowołany przytwierdził, że chłopiec istotnie coś upuścił z wagonu na ziemię...

Zanim zrozumiałem, co się dziać poczyna, kilkoro rąk męskich chwyciło go pod pachy i powlekło ku miejscu, gdzie jest przerwa między wagonem a wagonem, w dole zaś dzwonią, uderzając o się, talerze buforów, oraz bujają ciężkie haki i zwisające łańcuchy.

— Pod koła go wrzucić, pod koła! — ryczała kupa ludzi dorosłych, ciągnąc przerażone dziecko ku śmierci.

Wtem olbrzymi sołdat, z twarzą czerwoną jak surowe mięso, kolczasty od twardej, ognisto rudej szczeci, stroszącej się na jego policzkach i brodzie, (leżał dotąd, oparty na łokciu, w niedbałej pozie chama, przeświadczonego, że jest wśród nas figurą naczelną) powstał i rzekł bezapelacyjnie:

— Stój! Czyż można coś podobnego robić, towarzysze?

Chłopak zrozumiał, że to poratunek idzie do niego. Złożył więc trzęsące się dłonie, jak do modlitwy, i woła:

— Ratuj mię, diadia! Jak na świętej spowiedzi, jak przed Świętą Przeczystą prawdę mówię, że jestem niewinien. Jejbogu! niewinien, diadia!...

— Mołczat' szczenôk! — odrzekł sołdat. Jemu trzeba łeb ukręcić. Puśćcie-no mnie, towarzysze. Dzieło zrobię czysto. Mnie nie pierwszyzna...

Poczem obiema dłońmi ujął chłopaka za głowę, wplątał w płową czuprynę paluchy o czarnych paznokciach, które racicami raczej możnaby nazwać, i rozpoczęła się dziać rzecz straszna. Chłopak nie mógł wydać żadnego głosu, jak dzieci, którym zbyt wielki, nagły szloch tak zatyka gardło, że płakać na głos nie mogą. Kupa dorosłych mężczyzn i kobieta przypatrywali się w zaciekłem skupieniu temu, co się działo, aż się rozległ mokry chrzęst kości i ścięgien, łamanych i rozrywanych w człowieku żywym... Wtedy zepchnięto nogami bezwładne ciało chłopięce z dachu pod koła pociągu (dla pewności) i sprawiedliwość doraźną czyniący rozsiedli się na nowo, pomówili o wypadku i w dalszym ciągu rozpoczęli spory o to, czy wogóle jest jaki Bóg na świecie. I znów wypluwano niechlujne słowa pospołu z łuską gryzionych „siemiaczek“.

W jakiejś chwili ponownie usłyszeliśmy obmierzłe biadania kobiety.

— Cóż ja najlepszego zrobiłam, nieszczęsna!... Pieniądze się znalazły. Kajam się przed wami, chrześcijany prawosławne — zgubiłam dusze niewinną!...

Okazało się, że portmonetka obsunęła się z dziurawej kieszeni i utkwiła gdzieś między podszewkami brudnych kiecek.

Sołdat z twarzą podobną do surowego mięsa, uważnie przypatrywał się kobiecie, wreszcie — nie spiesząc się, powstał i rzekł:

— Ach, ty, podła! Duszę niewinną zgubiła a potem zamawia mi zęby pokajanijem... Trzeba i jej ukręcić łeb... Inaczej nie byłoby na świecie żadnej sprawiedliwości — prawda, towarzysze? Potrzymajcie-no mi tę staruchę....

I zamordował ją w ten sposób, co chłopca, chociaż krzyczała przeraźliwie, darła się w głębi struchlałych wnętrzności potwornym wrzaskiem, niby kobieta, która rodzi...

Głos jej dotąd mię ściga, gdy słyszę trwożne, przeciągłe gwizdanie lokomotywy. Pewno dlatego — że podczas tracenie owej kobiety pociąg zbliżał się do jakiejś stacji i ochrypły, długi gwizd lokomotywy zlał się z przedśmiertnym wrzaskiem kobiecym w jeden potworny ryk o nieludzkiem brzmieniu.

Oto jest grymas szatana na obliczu „wyzwolonej“ sprawiedliwości, obliczu z surowego mięsa ludzkiego... Temida proletarjacka uśmiechem swym przeszyła mię wówczas do szpiku kości... Straszliwem ponad wszelki wyraz jest Państwo Ponurej Anegdoty, idące na Polskę hordą, najdziksza z wszystkich hord w dziejach ludzkości! — dokończył kapitan swego opowiadania.

— Nie chciałbym być chłopcem, ani kobietą z pańskiego opowiadania, kapitanie. Ale Polska to przecież nie Azja. Do czegoś podobnego u nas nigdy nie dojdzie — rzekł jeden ze słuchaczy, cywil, uważający się za ofiarnego patriotę, gdyż wdowi grosz z wielkich kapitałów, naspekulowanych na wojnie, umieścił w Pożyczce Odrodzenia, w lokacie bądź co bądź najpewniejszej.

— Może u nas do tego nie dojdzie, ale oni przyjść do nas mogą, a wtedy wezmą cię za łeb, panie cywil — odrzekł kapitan. Wy wszyscy chowacie wasze starannie uczesane głowy i półgłówki w przesądzie o europejskości naszej Ojczyzny, niby struś, który kryje łeb w piasku na widok niebezpieczeństwa. Pieczołowicie wysiadujecie swoje strusie jaja interesów i ambicji, nie pomni, że od Wschodu szturmuje Wielki Cham, który chce zrobić z was i tych waszych jaj krwawą jajecznicę!...

— Cóż znowu, kapitanie? — replikował ofiarny patrjota. Front jak słychać, jeszcze się trzyma, chociaż planowo się przegrupowuje. Podobno duch wojsk w ostatnich czasach podniósł się znacznie. Zresztą bolszewicy — wedle wszelkich przypuszczeń — nie przekroczą ze względów polityczno-strategicznej natury linji Bugu. Tak przynajmniej mówił mi krewny, którego mam w Sztabie Generalnym...

Przez drzwi, otwarte na balkon, wpadł do pokoju harmonijny, mosiężny grzmot muzyki wojskowej. Rozmawiający wyszli na balkon.

Oba chodniki zalewał kolorowy, wielkomiejski tłum, poruszający się stępa wskutek tłoku. Środkiem ulicy szło w szyku wojskowym kilka orkiestr, jedna za drugą. Blask południa lipcowego zapalał migotliwe, ruchome słońca na wypukłej polerowności miedzianych i srebrzystych trąb, które rzucały w kamienne łożysko ulicy melodję narodową, porywającą żołnierza, jak tysiąc sztandarów rozwiniętych do bitwy.

Pluton inwalidów wojskowych, postukując w takt muzyki drewnianemi kikutami szczudeł, powiewając pustemi rękawami i nogawicami, niósł plakat z napisem: „Dość krzykliwego patrjotyzmu, więcej — czynu!"

Za inwalidami szedł oddział pod bronią. Karabiny wszelakiego systemu niezwyczajny dźwigał żołnierz. Nie młodzież, nie wyrostki nawet, lecz chłopcy w wieku, uważanym za dziecięcy. Broń była za ciężka dla ramion, nieznających kobiety; krok żołnierski — za forsowny dla tych nóg, co zda się same niosły uszczęśliwione, pełne duszy najpiękniejszej ciało chłopięce. Skauci, gimnazjaliści, dla których Polska nie utraciła jeszcze istotnego ducha swej wielkości, zatraconego przez ludzi dorosłych, chcących Polski partyjnej lub stanowej... Obdarte dzieci ulicy i rynsztoka, którym Polska nie dała dotąd nic, prócz szturchańców, popychania i prawa do żywota ptaków niebieskich.... Szli z powagą dziecinną, będąc u szczytu spełnionych marzeń: naprawdę już są żołnierzami — dano im przecież karabiny prawdziwe i pójdą na prawdziwą wojnę, jak dorośli!

Obok sklepów sprzedających rzeczy zbytku i rozpusty, obok kawiarń przepełnionych geszefciarzami w rozkwicie zdrowia i męskości, — szła krucjata dziecięcia, dalszy ciąg stuletniej wyprawa krzyżowej młodzieży w Polsce. Wiecznie ofiarujące się za Naród cały i wiecznie zwyciężające śmierć samą, od której tyle już razy kładły się pięknym pokosem, jak zboże zielone — szły dzieci ludzi szanownych, starych i niestarych obywateli kraju, którzy zawsze umieli narzekać tylko i paktować, a najwyższe powołanie Narodu nazywali romantyzmem i szaleństwem.

Młodzież idąca w szeregu nie patrzała na tłum, który się gapił, potniał i udawał wzruszenie. W skupionych błyskawicach młodych oczu niosła ona najgłębszą duszę Polski dzisiejszej, niby bezdenne krynice łez wspaniałomyślnych. Przez takie krynice ducha widzi się wszystko i nic.

W tym-że czasie, gdy młodzież maszerowała ulicami Warszawy, to samo odbywało się we Lwowie i Wilnie, w grodach: Lwa królewskiego i Wilka książęcego, które po prawicy i lewicy Rzeczypospolitej leżą na straży Jej świętych granic.

I wszędzie z tych szeregów najmłodszych biło wielkim, niemym krzykiem ducha na Polskę całą:

— „Ave Polonia, victuri te salutant!"

. . . .

Tłumy przeszły. Muzyka grała w dali. Ulica ocknęła się do powszedniości. Panowie, zebrani na balkonie, stali w milczeniu.

— Gdyby nie defekt serca, poszedłbym i ja z nimi — ozwał się ofiarny patrjota.

— Jużbym dawno dźwigał karabin, ale cóż — bez binokli nic widzę własnego nosa — usprawiedliwiał się inny.

— Czy uwierzycie, ogromnie lubię mundur wojskowy. Żona utrzymuje nawet, że byłoby mi w nim bardzo do twarzy — rzekł inny pan, starszy referent z ministerjum spraw Polsce niepotrzebnych. — Lecz wątpię, czy mój szef mię puści. Na moim posterunku będę bezwątpienia stokroć pożyteczniejszy, niż tam, gdzie pierwszy lepszy andrus z warszawskiego bruku zastąpi mię doskonale, podczas gdy na moim urzędzie byle andrus mię nie zastąpi.

— Psiakrew! — zawołał kapitan. — Cóż więc nareszcie wzruszyć was może, powiedzcie, na Boga! Panowie z defektem dla Polski w sercach! Ludzie nie chcący widzieć nic poza własnym nosem! Wsadźcie sobie na nos po sześć par binokli, ale ruszcie się wkońcu, zrównajcie się nareszcie ze wspaniałością ducha waszych dzieci nieletnich!

— Gdyż inaczej „wyzwolona" sprawiedliwość iby wam poukręca na waszych posterunkach obywatelskich i kraj ten stanie się wielką ponurą anegdotą, a wy w niej będziecie marnym zaiste dowcipem!...

Domy ludowe.

Domy ludowe powstały we wszystkich krajach cywilizowanych w drugiej połowie XIX wieku, jako wyraz nowych potrzeb, budzących się w społeczeństwie, jako przejaw dążeń do lepszych, kulturalniejszych form życia. Budowano domy ludowe z inicjatywy jednostek, stronnictw lub stowarzyszeń, z ofiar i składek ludności, przy pomocy gminy i państwa. W domach ludowych, obok sal przeznaczonych na wykłady i przedstawienia, mieszczą się biblioteki, czytelnie i herbaciarnie — schodzą się tam na narady zarządy miejscowych związków, stowarzyszeń i organizacji, odbywają się odczyty, pogadanki, dyskusje i konferencje, koncerty, przedstawienia amatorskie i zebrania towarzyskie — spotykają się ze sobą ludzie w dni świąteczne i codziennie wieczorem po pracy, kształcą i bawią, nawiązując węzły sympatycznego współżycia.

Im więcej domów ludowych rozrzuconych po kraju, tem liczniejsze ogniska umysłowej i towarzyskiej kultury. W krajach wysoko cywilizowanych, w Danji i Finlandji, niemal w każdej wsi spotyka się domy ludowe. Najwspanialsze wznoszą się w wielkich miastach, jak pałac ludowy w Londynie, takiż pałac, a także giełda pracy w Paryżu, domy ludowe w Brukseli, Stokholmie, Wiedniu, Berlinie itp. Specjalny charakter posiada londyńska Toynbee Hall, położona w najnędzniejszej dzielnicy miasta, dla szerzenia oświaty i moralnego oddziaływania na najciemniejszą ludność.

W Polsce już w XVIII i na początku XIX wieku spotykamy instytucje przypominające współczesne domy ludowe. Wznieśli je ksiądz Paweł Brzostowski we wsi swojej Mereczu w Wileńskiem, Stanisław Staszic w Hrubieszowie i Karol hrabia Brzostowski w Sztabinie, w ziemi Augustowskiej. Piękne zaczątki te zmarniały wśród burz i niedoli porozbiorowego okresu. Najwcześniej i najliczniej wznosić poczęto domy ludowe w Galicji, przeważnie na kresach, dla obrony zagrożonej narodowości. Zakładały je stronnictwa socjalistyczne i katolicko-narodowe, Towarzystwo Szkoły Ludowej i Kółka rolnicze. W Królestwie budowa domów ludowych zacząć się mogła dopiero po wypadkach 1905 roku, prowadziły ją jednostki, stowarzyszenia kulturalne lub partje polityczne. Do wzorowo urządzonych należą domy w Płocku, Ciechanowie i Liskowie. Ankieta przeprowadzona w 1919 roku na terenie b. Królestwa wykazała istnienie 123 domów ludowych — podział ich między poszczególne ziemie przedstawia się następująco:

Ziemia		
Ziemia	Piotrkowska	31
„	Warszawska	24
„	Płocka	19
„	Kaliska	13
„	Łomżyńska	13
„	Kielecka	10
„	Siedlecka	7
„	Lubelska	2
„	Radomska	2

Zaczątki nowych domów ludowych stanowią liczne świetlice kursów dla dorosłych.

W Poznańskiem brak podobnych instytucji, stowarzyszenia robotnicze i rzemieślnicze kierowane przeważnie przez duchowieństwo, otrzymują na zgromadzenia swe sale parafjalne.

Domy polskie ludowe powstają na wychodźtwie, w Ameryce w Chicago i w Ellis Island pod Nowym Yorkiem.

W Polsce współczesnej, mimo zastoju budowlanego, dotkliwego braku mieszkań i materjałów, zauważyć się daje żywiołowy pęd do wznoszenia domów ludowych po wsiach i miastach. W Warszawie powstała specjalna Komisja, która opracowuje spis istniejących i statuty wzorowych domów ludowych, udziela ona także instrukcji fachowych. W marcu 1920 roku 180 stowarzyszeń zwróciło się do rządu z prośbą o poparcie akcji budowy domów ludowych, których wiele jest już zaczętych w różnych okolicach kraju. „Niechże najszerzej rozlega się w Polsce nowy hymn murów, żelaza i granitu — pisze w sprawie tej Edward Milewski — niech w majestacie słońca stanie radosna twórczość miljonowych rzesz ludu polskiego". — „Nowa idea winna w nowej ucieleśnić się formie — mniema artysta Rembowski — niech ściany domów tych mają wymowę wielkich mas — prostych i surowych, jak surową jest dola ludu — niech całość nosi znamiona wielkości, jak wielką jest nurtująca w głębiach tęsknota ludu do lepszego życia"...

W dniu ogłoszenia konstytucji 17 marca 1921 roku, sejm powziął uchwałę o zbudowaniu w Warszawie, kosztem państwa, domu ludowego. Ma on zawierać: bibljotekę, czytelnię, pracownię naukową, salę na zebrania i odczyty, muzeum kultury i sztuki. Urządzenia te będą bezpłatnie dostępne dla wszystkich obywateli.

Potęga prasy amerykańskiej.

O rozwoju prasy codziennej w życiu narodów, wnioskować można ze znaczenia, jakie w życiu Ameryki odgrywa dziennik. Pod tym względem prasa Europy mimo swego wysokiego rozwoju, nie może iść w porównanie z pismami Nowej Ziemi. Dla ilustracji tej potęgi siódmego mocarstwa w świecie, przyjrzeć się warto organizacji dziennika amerykańskiego tych rozmiarów i tak olbrzymiej organizacji, jak nowojorski dziennik „New York Times".

Wydanie niedzielne „New York Times", ma 102 strony dużego formatu, 24 stron dodatku ilustrowanego i 64 strony dodatku literackiego — razem 190 stron. Numer wielkanocny tego pisma składał się z 360 stron. Taka gazeta-olbrzym kosztuje tylko 5 centów, chociaż papier, zużyty na to wydawnictwo, zapewne wart jest co najmniej ćwierć dolara. Artykuły redakcyjne i depesze w pierwszym i drugim dziale zajmują 44 strony, przegląd nowych wydawnictw 32 strony. Dział, w którym podawane są notatki o uroczystościach familijnych w sferze towarzyskiej, liczy stron kilkanaście. Sport zajmuje stosunkowo nie wiele miejsca, bo zaledwie 8 stron, informacje o nowych budynkach, nieruchomościach i ogłoszenia o wynajmie mieszkań 18 stron i t. d. Oczywiście, że przeczytanie podobnego wydawnictwa od deski do deski stanowi już całkiem poważny wysiłek i jest dla większości czytelników niewykonalne.

Jak wygląda redakcja takiego olbrzymiego wydawnictwa?

Mieści się ona we własnym, 14-piętrowym gmachu przy 43-ciej ulicy w N. Jorku. Pismo to powstało w 1852 roku i do 1896 było niewielkiem, ale wpływowem wydawnictwem. W 1896 roku nabył je Adolf Ochs, który jest i obecnie jego właścicielem i rozwinął do dzisiejszych potężnych rozmiarów.

W Ameryce i samym Nowym Jorku są pisma o większym jeszcze nakładzie, niźli „New York Times", naprzykład „New York", „American", „World", „Evening Journal", albo brukowa „New York Daily News", która bije od 600 do 800 tysięcy egzemplarzy, ale „New York Times" uważana jest za najwpływowsze i najbogatsze wydawnictwo codzienne w Ameryce. W dni powszednie nakład jego wynosi 350 tysięcy egzemplarzy, w niedzielę 600 tysięcy.

Właściwa redakcja „New York Times'a" mieści się na 9-tem piętrze i składa się z 9-ciu sal, urządzonych z komfortem. W każdej sali dwa, lub 3 biurka, telefon i maszyna do pisania. Zdala od reporterów, dokuczliwych dzwonków telefonicznych i biur wydawnictwa oraz od przeszkadzających w pracy interesantów, dziennikarz-publicysta może tu pracować spokojnie. Obok znajduje się elegancka sala posiedzeń redakcyjnych, które odbywają się codziennie pomiędzy godziną 12 a 1 w południe. W posiedzeniach tych bierze udział 8 redaktorów i 4 fachowych kierowników. Przewodniczy naczelny redaktor. Właściciel pisma do spraw redakcyjnych nie wtrąca się wcale, mieszka on w kilko-pokojowym lokalu na 14 piętrze tejże kamienicy. Obok sal redakcyjnych mieści się obszerna, dobrze zorganizowana bibljoteka.

Ale wstąpmy do najniższego piętra, znajdującego się pod ziemią, gdzie się mieszczą maszyny drukarskie. Jest ich 64. Jedna z nich najnowszego systemu „Noe", kosztuje 150 000 dolarów. Biją one w ciągu godziny 600 tysięcy egzemplarzy po 24 stron, lub też 480 tysięcy egzemplarzy po 32 stron. W lokalu maszyn panuje ruch i hałas nieopisany...

W zecerni pracuje 70 maszyn, składających pismo, ale i w tym amerykańskim dzienniku, niektóre ogłoszenia są jednak składane ręcznie. Jedno z pięter zajmuje zakład fotograficzny inne zaś rotografja.

Dział zagraniczny, to cały departament ministerstwa. Tu czytają tylko pisma obce. Dalej dział telegrafu iskrowego, gdzie można wyraźnie słyszeć stukanie aparatu telegraficznego w Paryżu lub dźwięki orkiestry w Chicago.

W niewielkim stosunkowo pokoju mieści się oddział Tow. telegraficznego Associated Press, obsługującego wszystkie dzienniki amerykańskie. Stoi tu dziesięć aparatów t. zw. Morkrum. Tu się rodzą obiegające cały świat depesze.

Ciekawie wygląda sala reporterów. Koncentrycznie rozmieszczono półokrągłe biurka, przy których pracują reporterzy. Pośrodku miejsce szefa. Jak wódz na polu bitwy, wydaje on rozkazy całej armji. Tu z całego olbrzymiego miasta nadchodzą telefoniczne wiadomości o zabójstwach, pożarach, kradzieżach, przyjeździe wybitnych osób, wynikach zawodów sportowych i t. p. Reporterzy w liczbie około 50, na rozkaz swego szefa udają się na miejsce wypadków, lub po wywiad. W tej sali decydują się nieraz losy różnych znakomitości teatralnych, kinoteatrów, sportów.

Warto zajrzeć do sali, w której wydawnictwo sprzedaje swe nowiny. Na ścianach, na haczykach, wiszą świeże odbitki wiadomości, które mają być ogłoszone w następnym wydaniu. Tu też mieszczą się liczne aparaty telegraficzne. Każde z pism, nabywających w redakcji „New York Times'a" wiadomości, ma tu swój własny aparat, który niezwłocznie przetelegrafuje nowinę do S. Francisko, Londynu, Kanady, Indji, Australji. Jest w tej redakcji inna jeszcze osobliwość, t. zw. trupiarnia. Tu zgromadzony jest materjał biograficzny, dotyczący przeszło 180 tysięcy osób, zajmujących więcej lub mniej wybitne stanowiska, lub głośnych w świecie. Jeśli zachodzi potrzeba napisania nekrologu — materjał jest pod ręką.

W wydawnictwach pracuje około 2000 ludzi: redaktorów, reporterów, urzędników i robotników.

Ale to jeszcze nie wszystko. „New York Times" ma swój klub dla robotników z czytelnią i wykładami z dziedziny dziennikarstwa, szpital, urządzony wzorowo, pogotowie lekarskie, salę operacyjną i nawet osobną salę, przeznaczoną dla odpoczynku dla pracujących w piśmie dziewcząt, których jest około pięciuset. Jest tu i restauracja, otwarta od godziny 7 rano do 3 w nocy. Bywa w niej do tysiąca osób w ciągu doby. Obiady są tańsze niż gdzieindziej, a osoby, zarabiające mniej niż 15 dolarów tygodniowo, otrzymują tu obiad bezpłatnie. Oczywiście kuchnia zaopatrzona jest we wszelkie najnowsze urządzenia techniczne.

Sprawiedliwość Kazimierza II.

Najmłodszy z synów Krzywoustego, Kazimierz, przezwany Sprawiedliwym, zasłużył na to miano całem życiem.

Kiedy jeszcze był księciem sandomierskim, zdarzyło się pewnego razu, iż grał w kości ze swoim dworzaninem, Janem z Konar.

Książę wygrywał ciągle, a dworzanin nie umiał pokryć swego niezadowolenia, co tak śmieszyło i bawiło Kazimierza, iż szczerze żartował sobie z losu przeciwnika.

Wtem zrozpaczony dworzanin, przegrawszy ostatnią stawkę, uniósł się takim gniewem, iż wymierzył księciu policzek.

Rzucili się dworzanie, skrępowano natychmiast winowajcę, który za tak ciężką winę miał być skazany na śmierć przez ucięcie głowy.

Ale Kazimierz nie zgodził się na taki wyrok.

— Jam winien żem go ograł, i do rozpaczy przywiódł — rzekł i rozkazał wolno puścić nieszczęśliwego, z tem tylko zastrzeżeniem, aby więcej na dworze się nie pokazywał.

Później, jako książę krakowski, zwołał do Łęczycy panów i biskupów i ustanowił z nich radę królewską w r. 1180, dobrowolnie w ten sposób ograniczając swą władzę.